

🐦: Czy Wrocław rywalizuje z Białymstokiem o miano stolicy polskiego lalkarstwa?

JOLANTA GÓRALCZYK: Tak bym tego nie nazwała. Teatry mają zupełnie różne programy, a fakt, że na przykład wydziały lalkarskie w obu miastach w naturalny sposób ze sobą konkurują, jest twórczy i potrzebny. Oba wydziały organizują festiwale teatralne, które są miejscem wymiany doświadczeń. My gościmy ich we Wrocławiu, oni zapraszają nas do Białegostoku. W tym czasie nie tylko konfrontują się ze sobą studenci i pedagodzy, ale też programy nauczania. Więc jak pan widzi, same korzyści.

A nie ma pani wrażenia, że teatr lalkowy jest wciąż niedoceniany, bo kojarzony wyłącznie z teatrem dla dzieci?

Wiem, że zabrzmi to górnolotnie, ale dla mnie aktor-lalkarz to człowiek z misją. Zdecydowałam się na ten zawód świadomie i wiem, że nie ja jedna. A często postrzegani jesteśmy jak nauczyciel, któremu marzą się wykłady na uniwersytecie, a przychodzi mu uczyć dzieci w podstawówce w klasach 1–3. Teatr lalkowy ma oczywiście zadanie edukacyjne, bo w wielu przypadkach wprowadza młodego człowieka w świat teatru, ale to tylko jedna z domen lalkarstwa. Zapomina się, że to również miejsce interpretacji ważnych dzieł literackich oraz interpretacji tematów filozoficznych, egzystencjalnych. Poprzez formę plastyczną i nieco inne, nierealistyczne spojrzenie ten teatr stara się szukać odpowiedzi na istotne pytania, które nurtują ludzi myślących.

Jeśli spojrzeć na dorobek pani profesor, to widać, że aktor lalkowy nie musi czuć kompleksów wobec aktora dramatycznego. Zdecydowanie.

Reżyserzy często powierzają pani główne role, ale też są pewne zaskoczenia, jak Mefisto w „Fauście”. Takiemu diablui z pewnością trudno było się oprzeć.

Wybitny znawca teatru profesor Henryk Jurkowski napisał recenzję dokładnie w tym stylu. Od tamtej postaci Mefista minęło wprawdzie wiele lat, ale teraz okazało się, że historia zatacza koło, bo znów pojawiłam się na scenie jako diabluta w sztuce Marii Wojtyłzko „Piełło-Niebo” w reżyserii Jakuba Kroftę.

Ta rola stała się pani kolejnym sukcesem.

Tak naprawdę uświadomiłam sobie, że nie tylko mam swoje miejsce w tym teatrze, ale też że w tym zawodzie mam jeszcze coś do powiedzenia. Cieszy mnie to zwłaszcza w czasie, gdy do teatru wkraczają młodzi, z którymi świetnie mi się współpracuje. Ostatnio od ZASP otrzymałam nagrodę Henryk. Na szczęście przyznano mi ją za wybitne osiągnięcia aktorskie, a jeszcze nie za całokształt. Więc to mnie mobilizuje, by dalej działać. A najważniejsze, że wciąż mogę zajmować się tym, co mnie naprawdę pasjonuje.

Piękna kobieta może być przekonująca jako kusicielka, ale trudno mi sobie wyobrazić ją w roli pełnego kompleksów Ryszarda III.

Chyba czytał pan opis tej roli w eseju Henryka Izydora Rogackiego. Mój Ryszard III był człowiekiem bardzo sprawnym fizycznie. Ekspresyjne, animowane formy plastyczne Jadwigi Mydlarskiej-Kowal,

świat wielkiej fantazji, choć akurat niekoniecznie dla dzieci.

To był spektakl zdecydowanie dla dorosłych. Za dyrekcji Wiesława Hejny, a potem Aleksandra Maksymiaka scena dla

Krzysztofa Kolbergera – po prostu wybitni artyści, a przy okazji bardzo ciekawi ludzie. Współczesny teatr lalek właściwie stał się międzygatunkowy i musi być otwarty na różne estetyki.



PIOTR HAWALEJ / WROFOTO

Ryszard III był kobietą, jak Medea i Mefisto

przestrzeń sceniczna Michała Jędrzejewskiego z wieloma schodami i zapadniami wymagały takiej sprawności. Przekulał też jego kompleksy w powód do dumy. Miał poczucie swej wyjątkowości, ale też chorobliwą żądzę władzy. Dążył do niej w sposób bezwzględny. I dopiero kiedy przekroczył wszelkie granice i zaczęły nawiedzać go upiory, w tym monolicie pojawił się strach. Przed Bogiem, a może historią. I od tego momentu zaczyna się jego upadek.

Reżyserzy pamiętają nie tylko o pani talencie dramatycznym, ale też wokalnym. Jednym z wielu przykładów jest choćby zaśpiewana przez panią Kobieta z „Ostatniej ucieczki” Brunona Schulza w reż. Aleksandra Maksymiaka. Świat Schulza to z pewnością

dorosłych funkcjonowała regularnie w każdy piątek. To wtedy stało się tradycją. Cieszę się, że przypomniał pan tamte pieśni, bo skomponował je Zbigniew Karnecki, czyli historia polskiego teatru.

Do wrocławskiego teatru lalek zaczęli zaglądać twórcy raczej niekojarzący się z tym teatrem, np. Jan Peszek, Krzysztof Kolberger czy Joanna Szczepkowska. To nowe doświadczenie dla aktorów-lalkarzy, czy lepiej się współpracuje we własnym środowisku.

Takie spotkania są zawsze ciekawym doświadczeniem. Koledzy do dziś bardzo wysoko oceniają współpracę ze wspomnianymi przez pana twórcami. Dodałabym do tej trójki jeszcze nazwisko Leszka Mądzika. To są i byli – jak w przypadku

Jest pani żoną cenionego reżysera Jacka Bunscha, mimo wzajemnego uznania poza jednym przypadkiem jakoś nie lubicie wchodzić w swoje światy.

Dokładnie były dwa takie przypadki. Oprócz Witkacego, czyli jednego z ulubionych artystów Jacka, wyreżyserował on też mój recital, czyli „Kraję pozorną” do tekstów Thomasa Eliota i Czesława Miłosza z muzyką Romana Kołakowskiego. Bardzo miło wspominam pracę z Jackiem, ale tak jakoś się składa, że jeśli ma się reżysera na co dzień, to zawsze się wydaje, że praca z nim to rodzaj protekcji. Ale myślę, że trzeba od czasu do czasu łamać tego typu przekonanie (śmiej). ©©

—rozmawiał
Jan Bończa-Szabłowski